



DUSZA TATR...

Gdzie ona jest? gdzie jej siedlisko? — Niewiemy.

Lecz że istnieje, że jest potężną i słodką, silną a pełną tęsknicy — o tem wiemy wszyscy. Ten łańcuch złomów o fioletowych barwach jak garść cennych ametystów z purpurowymi blaskami, o rannej zorzy cały jasny i wesoły, o południu jakby omdlały pod pocałunkami słońca, wieczorną ciszą delikatny i przeźroczy — śle duszę swoją jakby na wywiady.

Zrozumieją mnie ludzie? odczytają? wchłoną w siebie choć cząstkę?

Od ametystów Tatr zanurzonych w białych strzępach chmur spływają całe prądy zdrowej siły i odczucia Piękna.

Miłosne ramiona duszy Tatr gną się ku ludziom jak gałęzie srebrnych wierzb ku liljom śniącym na brzegach jeziora. I siła, i woń, i rozmarzenie bezbrzeżne i jakieś dziwne uczucie zachwytu a zarazem błogość wielka przenika nas.

To dusza Tatr! to dusza Tatr!

* * *

Ciemna noc — czarna prawie, zasnuwa czuwających.

Po willach, po sadybach drżą światełka i powoli gasną.

Wszczął się szum i wszczął się gwar.

Od hal leci poszmer skrzydeł jaakby stada orłów spadały w dolinę.

Poszmer skrzydeł zwolna przechodzi w szum. W ludziach zwrasta jakiś niepokój. Szum zda się zwiększać i spadać kaskadą od gór, od Tatr ku cichym i dyszącym od oczekiwania sadybom.

Po wierzchołkach świerków biegnie ten szum, potrąca smereki, modrzewia. Gną się pod nim posłuszne jakby poddani przed królewską władzą. Małe osiki mienią się zmorą trwogi. Na stoku góry zakwitła pod ścianą will — purpurowa róża. Wicher liście jej rozwiał jak krople krwi — i poniósł na wilgotne łąki.

Szum przeszedł w ryk spadł całą mocą w dolinę i sięgnął do ludzkich dusz.

Uczuły się małe, biedne, trwożne.

Nie sięgają ku nim miłosne ramiona jakby srebrnych wierzb, lecz targa ich spokój na stszępy jakiś czarny duch pełen szmeru, poświstu, łoskotu.

I człowiek czuje swoją małość, swoją nicość — swój niewielki obszar istnienia gdy z takim szumem, z taką siłą, z taką potęgą spłynie ku niemu z niewidzialnych w cieniu szczytów duch olbrzym, duch-Tatr!

* * *

O zachodzie słońca słodka i pełna uroku schodzi melancholja z gór w doliny.

Ma w sobie przedsmak snu kołyszącego w takt cichej melodji znękane serca zmęczonych ludzi.

Szafir gór powoli błękitnieje i staje się przeźroczym prawie błękitem.

A gdy słońce już zajdzie niemal zupełnie góry nabierają przezrocza kryształu i powoli w tej melancholijnej ciszy zaczyna się w człowieku dziać wielka i piękna przemiana.

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu" z dnia 28 Czerwca 1903 r.

Drobiazgowość codziennych walk, ułuda codziennych trosk niknie, rozpływa się w jakimś lazurze stapiającym w sobie wszystko co upatrzy, jak chwasty z których ludzie dobrowolnie wieniec sobie uwili.

Roztęskniona, pełna smutku lecz i rozumiejąca nagle skarb swego Piękna dusza ludzka wchodzi w kontakt z duszą Tatr płynącą od kryształicznych wierchów, duszą, która posiała po drodze siłę, grozę, a zeszła jak widmo dobroczynne w lazurowej szacie obramowanej złotemi blaskami zachodzącego słońca.

Zbliżyła się ku nam dobra i łagodna, Pani wielkiego majestatu nieznająca pęt ani bolu, i otuliła nas swemi wielkiemi szafirowemi skrzydły.

I wtedy cisza wielka wstępuje w nas, cisza w której zapominamy o tem czego pragniemy i radzi pozostalibyśmy tak na zawsze wśród szafiru tych skrzydeł i tonąc w melancholji rzeczy pięknych i dobrych.

To wszystko — nam niesie dusza Tatr...

Gabryela Zapolska-Janowska.

Zakopane w Czerwcu.

NASZ PROGRAM.

Przystępując do wydawania dodatków zakopiańskich, nie zamierzamy bynajmniej uczestniczyć w walce tak zwanych stronnictw, ścierających się w uroczej miejscowości, tak pięknie nazwanej letnią stolicą Polski. Stronnictw tych nie znamy i nie uznajemy, pragniemy jedynie wytworzyć organ, któryby harmonijnie jednoczył wszystkich przyjaciół Zakopanego, wszystkich ludzi dbałych o jego pomyślny rozwój i rozkwit.

Nie wynika stąd, abyśmy nie uznawali potrzeby starcia zdań, bez którego żadna nowa myśl powstać nie może, niech to będzie jednak walka o zasady nie o osoby nie w bagnie osobistych interesów, ale na szczytach szlachetnego współzawodnictwa.

Nie widzimy potrzeby rozstrząsania w obliczu całej Polski drobnych miejscowych konfliktów, wydmuchanych do nieproporcyonalnych rozmiarów przez fantazję bardzo artystyczną, ale zbyt indywidualną, i nie sądzimy aby przenoszenie waśni osobistych na pole publicystyki było zgodne z interesami „klejnotu“ gór naszych.

Zjadliwy krytycyzm, oparty na czystej negacji więc bezpłodny, — jest u nas niestety bardzo popularny w literaturze, publicystyce i w życiu publicznem; jego ofiarą pada zbyt często Zakopane dzięki metodzie, która każe podnosić i podkreślać jego wady i braki, a lekceważyć lub przemilczać jego przymioty i zalety.

Zakopanego nie potrzeba mierzyć miarą wielkich zagranicznych uzdrowisk na których rozwój i ukształtowanie składały się stulecia na które włożono olbrzymie kapitały. Zakopane istnieje dla polskiego ogółu dopiero od kilkudziesięciu lat, a od lat kilku zaledwie pojawiły się tam inwestycje cokolwiek wydatniejsze...

A jednak mimo braku poparcia ze strony państwa i kapitalistów, mimo bardzo skromnej pomocy kraju, mimo szczupłych środków jakiemi samo Zakopane jako gmina rozporządzać może postęp jest ogromny, a cyfra 12000 osób, które przebywały w Zakopanem w ciągu ostatniego roku, jest wymownym dowodem, że publiczność polska rozumie i ocenie wartość poczynionych nakładów.

Źle więc robią ci, którzy w Zakopanem dopatrują się jakiegoś „bagna“. Z pewnością, nie wszystko idzie tam jakby iść powinno. Ale nie tędy droga do naprawy; dopomódz może tylko przedmiotowa krytyka, życzliwa rada i bezinteresowna opieka — i pod tem hasłem rozpoczynamy naszą publicystyczną pracę w Zakopanem.

* * *

Zakopane jest gminą, stanowi zatem najdrobniejszą, ale podstawową część ustroju państwowego i fałszywie sądzi kto pragnie jej zniweczenia, na korzyść jakiejś nowej sztucznej organizacji.

Wykluczenie żywiołu miejscowego, górali i innych stałych mieszkańców od udziału w zarządzie, a oddanie go w ręce zmiennego żywiołu przyjezdnych gości, byłoby nietylko niesprawiedliwością i pogwałceniem praw tamtejszego ludu, ale odbiłoby się bardzo niekorzystnie na całej gospodarce zakopiańskiej, któraby łatwo weszła na drogi fantastyczne. To też sądzimy, że obecne urządzenie, gdzie rada gminna, stanowi niejako czynnik współrzędny z klimatyką będącą do pewnego stopnia organem gości, — jest najszczęśliwszą kombinacją jaką w danych warunkach ułożyć można.

Stojąc jednak na gruncie utrzymania samorządu gminnego, nie zrzekamy się oczywiście prawa krytyki i kontroli gminnej gospodarki, powtarzamy bowiem, że mamy na oku jedynie dobro ogólne Podhalu, i nie zawahamy się napiętnować dosadnie, gdyby ktoś ważył się podporządkować interes zakopiański pod swój własny; zawsze zaś potrafimy odróżnić szumną frazeologię i prywatę od czystej pozytywnej pracy.

KRONIKA.

Zarząd klimatyki jest następujący: Prezes pan Piątkiewicz c. k. komisarz powiatowy i c. k. inspektor zdrojowy. Pozostanie on w Zakopanem przynajmniej jeden rok, a mamy nadzieję, że Namiestnictwo mając na względzie pożytek Zakopanego pozostawi go dłużej. O jego pracy i zasługach położonych dla dobra Zakopanego napiszemy w przyszłości obszerniej.

Lekarzem klimatycznym na czas sezonu zamianowało Namiestnictwo za zgodą i na prośby klimatyki p. dra Karola Iwańskiego lekarza powiatowego z Przemyśla. P. Dr. Iwański rozpoczął urzędowanie z dniem 1-go Czerwca i jak dotąd nie ma chwili wytchnienia. Chcąc bowiem przygotować Zakopane na przyjęcie gości, przeprowadza rewizje sanitarne i dezinfekcje, co wymaga niemałego trudu, zwłaszcza, że zastał w tym kierunku teren w Zakopanem zupełnie nietknięty.

Towarzystwo elektryczne w Zakopanem. Na 28 bm. sprosił prezes tego Towarzystwa Dr. Chramiec rzeczoznawców, mających ocenić siłę wody, na której ma być zbudowana stacya centralna do oświetlenia elektrycznego. Przyrzekli przybyć: Przedstawiciel Izby inżynierów z Pragi, inżynier Pomianowski ze Lwowa, inż. Karol Mart z Freiheit, inż. Niemczyński z Zakopanego i inż. Horoszkiewicz z Krakowa.

W pierwszych dniach lipca wykończy zwierzchność gminy budowę rzeźni. O otwarciu tej nowej, a dla Zakopanego bardzo ważnej i pożądanej instytucyi doniesiemy później, przyczem podamy szczegóły co do kosztów rzeźni jak i jej urządzenia.

Na ukończeniu także jest dom klubowy Towarzystwa Tatrzańskiego. P. Włoczkowski, były restaurator z Rabki wydzierżawił w domu tatrzańskim bufet i gościnne pokoje. Biuro Towarzystwa jest już otwarte.

Członkowie Stowarzyszenia „Gwiazda“ w Zakopanem urządzają w niedzielę 28 bm. wspólną wycieczkę do uroczej Doliny Białego.

Fałszywa pogłoska. W pismach warszawskich pojawiły się o Zakopanem wielce szkodzące wieści o rzekomo panującym tu tyfusie. Wieści te, rozsiewane przed sezonem letnim rozmyślnie przez t. zw. przyjaciół Zakopanego nie opierają się na żadnej realnej podstawie, gdyż nie było tu ani jednego wypadku tyfusu. Pisma warszawskie powinnyby być ostrożniejsze przy powtarzaniu podobnych plotek rozsiewanych przez ludzi złej woli, którzy mając osobiste urazy i niechęci na oku, zapominają jak wielką krzywdę wyrządzają naszej uroczej miejscowości.

P. Gabryela Zapolska bawiąca w Zakładzie Dra Chramca ma zamiar urządzić w lipcu przedstawienie amatorskie na dochód ochronki miejscowej.

Napływ gości znacznie liczniejszy niż zazwyczaj o tym czasie. Nie odstraszył ich kilkudniowy deszcz i towarzyszące mu znaczne obniżenie temperatury. Obecnie pogoda się ustala i wedle przepowiedni górali spodziewać się możemy, że trwać może dość długo.

Dawno upragniona droga do doliny Kościelickiej jest na ukończeniu. W tym roku dojdzie do Sanatoryum Dra Dłuskiego, w przyszłym zaś umożliwi wycieczkę do Kościelisk nawet ludziom najbardziej miłującym wygodę.

Dr. Chwistek otworzył na Adasiówce pierwszy Zakład dyetetyczny w Zakopanem.

Przykry wypadek. Inżynier kolejowy p. Tadeusz Witkowski ze Lwowa, jadąc z rodziną do klasztoru OO. Jezuitów uległ przykremu wypadkowi. Woźnica bowiem wjechał tak nieostrożnie do rowu, że furka i wszyscy w niej siedzący, znaleźli się na ziemi. Na szczęście wypadek ten prócz chwilowego przestrachu, nie pociągnął za sobą złych następstw.

Ruch budowlany. Z 80 domów nowo powstałych w Zakopanem, zasługuje na wzmiankę piękny hotel „Warszawa“ muruwany w stylu zakopiańskim, przy ulicy Jagiellońskiej, własność posła Dra Danielaka. Hotel ten, oddany już na bieżący sezon do użytku publiczności, odznacza się wytwornem urządzeniem.

Zakopane rozporządza na bieżący sezon 575 domami gościnnymi, o 3322 pokojach, w których naraz pomieścić się może wygodnie 7349 gości. Wobec tego nie grozi brak miejsca, ani też zbytnie podwyższenie ceny pomieszkań.

W roku 1902 odwiedziło Zakopane 12039 osób. W ten sposób Zakopane co do prowincyi staje w równym szeregu z głównemi europejskiemi uzdrowiskami.

Park miejscowy na Chramcówkach, będący już od lat kilku w zastoju, podniesie się w tym roku znacznie. Od 1-szego lipca przygrywać w nim będzie dzielna kapela góralska, licząca 25 muzykantów. Na pomieszczenie tej kapeli wystawiono na polanie nowy pawilon. Wygodne ścieżki ułatwią kuracyuszom trudny dotychczas dostęp na gloryetę. Uznania godnym jest projekt p. komisarza Piątkiewicza założenia w parku filii czytelni, z której korzystaćby mogli goście zbierający się dla słuchania muzyki. Na czytelnię przeznaczony ma być deptak i dawny pawilon muzyki. Prócz tego ma być urządzony w parku bufet, w którymby publiczność dostać mogła mleka, wody sodowej itd. Byłoby to bardzo pożądanem, zwłaszcza, że już dawno dawał się odczuć w Zakopanem brak mleczarni na wolnem powietrzu, w rodzaju mleczarni p. Dobrzyńskiej w Krakowie.

Wystawy. W szkole zawodowej przemysłu drzewnego, wystawa otwarta od 8 rano do 12. Wejście bezpłatne. W szkole koronkarskiej wystawa wyrobów codziennie, cały dzień bezpłatnie. Muzeum Tatrzańskie im prof. Chałubińskiego przy ul. Chałubińskiego, otwarte od 2-giej do 5-tej popoł., oprócz niedziel i świąt. Opłata za wejście od osoby 20 ct.

Spostrzeżenia meteorologiczne.

Niedziela:

Termometr suchy	10·8	
„ wilgotny	10.9	
Ozon	15·—	pogodnie
Term. barom.	15·3	pochmurno
Barometr	692·5	
Wys. opadu	5.3	

Poniedziałek:

To samo, tylko termom. 693·4 deszcz

Wtorek:

Termometr. suchy	9·0	
„ wilgotny	9·1	pochmurno
Ozon	15·—	
Term. max.	17·4	
Barometr	596·—	

Środa:

Pogoda.

Termometr suchy	10·2
„ wilgotny	10·2
Ozon	15·—
Barometr	696·2

Nabożeństwa w niedziele i święta: Prymarya o godzinie wpół do 7-mej. Wotywa o godz. 9-tej. W kościele parafialnym suma o godz. wpół do 11-tej. Msza św. u OO. Jezuitów o godz. 12-tej w południe. W kaplicy Dra Chramca o godz. 10-tej.

Czytelnia klimatyczna w biurze Komisyi klimatycznej przy ul. Nowotarskiej otwarta cały dzień bezpłatnie dla P. T. Gości.

Wypożyczalnia książek w księgarni Zwolińskiego.

Lawn-tennis w ogrodzie Komisyi klimatycznej — i w parku na Chramcówkach.

„BAGNO".

W ubiegły piątek rozegrał się we Lwowie przed ławą przysięgłych proces, który dla pewnej części publiczności i pewnej części prasy był „wypadkiem dnia". Był to proces, wytoczony przez dra Gaika, głośnemu krytykowi — artyście p. Witkiewiczowi, z powodu jednego ustępu w broszurze ostatniego p. t. „Bagno". Przebieg jego podaliśmy krótko w naszym *Dzienniku*, jak nie mniej i wyrok uwalniający p. Witkiewicza. Szczegółów nie podawaliśmy obszerniej, bo dla szerokiego ogółu są one dosyć obojętne, z drugiej zaś strony nawet całe kolumny sprawozdań w tych pismach, które najszerzej omawiały senzacyę, nie dały należytego obrazu sprawy. Bo też proces onegdajszy był tylko jednym epizodem „wielkiego sporu" zakopańskiego, w którym, jak w historycznej walce Welfów, padają co chwila hasła „tu Chramiec — tu przeciwnicy". Pominąwszy lunatyków tatrzańskich, którzy traktują rzecz tak, jakoby Polska cała była tylko przysiółkiem Zakopanego i którzy w spór ten mieszają się prawdopodobnie z dobrą wiarą, ale z nie wielką znajomością stosunków — ci, którzy walczą, może także z najlepszą wiarą, w gruncie rzeczy jednak walczą nie o co innego, jak o władzę i rządy w Zakopanem.

Wyrazem tych, którzy walkę przeciw obecnie rządzącej partji wypowiedzieli, stał się znany krytyk-artysta, Zakopianin nie z urodzenia wprawdzie, ale z duszy i kości, p. Witkiewicz. Jestto człowiek wysoce wykształcony, ożywiony niewątpliwie najlepszemi chęciami, ale równocześnie zaciekły w swoim sądzie, apodyktyczny i bezwzględny. Być może, że właśnie skutkiem tego stał się dla swoich zwolenników rodzajem nieomylnego proroka i istotnie są ludzie, którzy kończąc słowami: „Witkiewicz to powiedział" sądzą, że zamknęli dyskusję najpotężniejszym argumentem.

I istotnie w wielu kierunkach — gdzie chodzi o piękno i sztukę, można się ostatecznie z tem przekonaniem zgodzić — niekoniecznie jednak tam, gdzie p. Witkiewicz staje się prokuratorem w sprawie gospodarki Zakopanego.

Tu dla nas p. Witkiewicz ma tak samo głos jak p. Chramiec, który na tym gruncie wzrósł i dorobił się przyzwoitego stanowiska, które wielu ludziom jest solą w oku. Pan Witkiewicz poszedł jednak tak daleko, że w polemice z p. Chramcem, (która zresztą w pierwszym rzędzie powinna obchodzić Zakopane i szerszego znaczenia nie ma), zaatakował cały szereg ludzi, a między nimi i dra Gaika, któremu nietylko zarzucił działanie w złej wierze, ale wprost ciężko oskarżył go, jako lekarza.

Pan Gaik otrzymał wprawdzie zadosyćuczynienie ze strony kompetentnej, t. j. lekarskiej, ale dotknięty w swej czci i wiedzy, wniósł przeciw p. Witkiewiczowi proces prasowy. Czy potrzebnie to uczynił, czy było to nieodzowne — to rzecz

inna. Zresztą to sprawa p. Gaika. Ale od tej chwili rozpoczęła się systematychna akcja, mająca na celu przygotowanie opinji w duchu, dla skarżącego najprzychylniejszym. — „Przegląd Zakopański“ przewidywał nawet „męczeństwo“ p. Witkiewicza za „wielką sprawę“, aż p. Witkiewicz sam przeciw podobnemu patosowi protestować musiał; posypały się korespondencje w dziennikach, w przeddzień niemal rozprawy pojawiły się obszerne sprawozdania i wyciągi z „Bagna“, słowem: ze sprawy o obrazę czci zrobiono jakąś olbrzymią sprawę narodowego znaczenia.

I cała rozprawa miała coś teatralnego w sobie: podczas gdy dr. Gaik i jego świadkowie trzymali się ściśle toku sprawy, przeciwnik i jego świadkowie z lubością krasomowców roztaczali obrazy natury, ludu, wierzeń — i plotek zakopańskich.

Bo jeżeli kto był w najmniejszej wątpliwości, gdzie są źródła owego „Bagna“ p. Witkiewicza, to po wysłuchaniu szeregu świadków odwodowych, a zwłaszcza zeznań świadka, który doprawdy zdawał się być ofiarą halucynacyi, lub własnych przewidzeń, którego zeznania były widocznie sprzeczne ze stanem rzeczy, — otóż, kto był świadkiem tej rozprawy, ten musi przyjść do przekonania, że źródłem „Bagna“ są po prostu babskie plotki, halucynacye histeryczek, zachwycających się góralem jak pokojowym pieskiem i ubolewających nad „podłością chłopskiej duszy“, o ile ta nie idzie w danym razie śladem ich życzeń.

Przyznając tedy p. Witkiewiczowi bez zastrzeżeń dobrą wiarę, poczciwą tendencję, wielki talent, przyznając nawet wielką teoretyczną słuszność jego wywodom i wnioskom, ubolewamy, że pisarz tej miary nie zdołał się ustrzedz od wciągania w grę osobistości, od niesłusznego podejrz wania i obrażania ludzi.

I nad jednem jeszcze ubolewamy. Ubolewamy nad tem, że pisarz tej miary i tych zasług, bronił się w sposób, w jaki może się bronić redaktor brukowego pisemka — ale nie artysta i taki krytyk.

Pan Witkiewicz miał dwie drogi; albo ponowić z całą siłą zarzut przeciw p. Gaikowi bez zastrzeżeń — albo — czegośmy się spodziewali natychmiast po przesłuchaniu interesowanego górala — powstać i powiedzieć swemu przeciwnikowi: „Wyrządziłem Ci mimowolną krzywdę — i oświadczam to dobrowolnie“.



POMNIK Ś. P. CHAŁUBIŃSKIEGO W ZAKOPANEM.

W ten sposób p. Witkiewicz nic nie tracąc z uroku, jaki go otacza, dałby wyraz prawdzie i poczuciu sprawiedliwości — i niech nam wierzy — byłby zrobił pierwszy poważny krok do osuszenia bagna zakopiańskich plotek. *Dz. Polski.*

Ostatnia podróż S. Hedina.

1899 — 1902.

(Ciąg dalszy)

W granice Tybetu wkroczył Swen Hedin na czele licznego orszaku, jakiego nigdy dotąd te strony nie oglądały. Składał się on z 40 muzułmanów, 4 kozaków, lamy mongolskiego, jako tłómacza, 39 wielbłądów, 45 koni i mułów, 70 osłów, 50 baranów i 8 psów. Przez długi czas prócz niedźwiedzi nie spotykano żadnych żywych stworzeń i dopierow obozie. który S. Hedin nazywa w swem sprawozdaniu Nr. 48. ujrzeli podróżni trzech krajowców Tybetu. Posłano do nich natychmiast lamę-tłómacza, w celu zasięgnięcia wiadomości topograficznych, ale Tybetańczycy zbiegli w popłochu przed przybyciem lamy. Jak się później dowiedział Hedin, przerażeni zbiegowie zawiadomili niezwło-

cznie naczelników poblizkich plemion, że armia rosyjska zbliża się od północy. Odtąd obecność podróżników w Tybecie stała się wiadomą mieszkańcom i wskutek tego okolica na pół noc od Lhassy i drogi, wiodące do tajemniczego miasta, zaczęły być pilnie strzeżone.

Postawiwszy karawanę w miejscu, gdzie były dobre pastwiska, podążył Hedin ku południowi w towarzystwie lamy, Szagdura i Ordeka. Prowadząc mongolski tryb życia, ucharakteryzował się również na Mongoła: obciął brodę i ogolił głowę tak, że stała się podobną do kuli bilardowej.

„Wyglądałem strasznie — powiada podróżnik— ale byłem nieco podobny doprawdziwego Mongoła, zwłaszcza, że mój lama przez kilka dni smarował mi twarz tłuszczem, dopóki nie stała się w części czarna, a w części brunatna.“

„Drugiego dnia podróży założyliśmy obóz na wązkim przesmyku pomiędzy dwoma jeziorami. Siedzieliśmy w namiocie, swobodni i w dobrem usposobieniu, a konie i muły spokojnie skubały trawę opodal. Około północy Ordek wpadł do namiotu i zbudził nas okrzykiem:

— Rozbójnicy!

Chwyciwszy za strzelby i rewolwery, pobiegliśmy za nim, po to jedynie, ażeby się przekonać, że rozbójnicy, których zaledwie zdołaliśmy już dojrzeć, uprowadzili nam dwa konie. O pościgu nie można było myśleć w obawie, ażeby bandyci przez ten czas większą gromadą nie napadli na obóz. Usiedliśmy więc około ognia i gawędziliśmy do świtu. Z nastaniem dnia zwinęliśmy obóz i ruszyliśmy dalej w kiarunku południowo-wschodnim.

Po trzydniowej podróży, podczas której przebyliśmy znaczną przestrzeń, spotykając po drodze gromady pielgrzymów mongolskich, przybyliśmy do czarnego namiotu, którego właściciel Sampo Singhi, pasterz, przyjął nas bardzo gościnnie. Sprzedał nam barana na pieczyste, dostarczył śmietanki i mleka zsiadłego, wskutek czego przez kilka następnych dni żyliśmy z pewnym wykwintem.

Następnego dnia mieliśmy trudną przeprawę przez rzekę Satyu-sangpho, na której przeciwległym brzegu przenocowaliśmy, wśród bagien, nie mając czem roznienić ognia; nazajutrz, przechodząc przez rozległą przestrzeń otwartą, otoczoną tylko zdala łańcuchem niewysokich wzgórz, spotykaliśmy karawanę, złożoną z 30 Tybetańczyków, prowadzących kilkaset yaków z ładunkiem herbaty chińskiej do Indji.

Ósmego dnia podróży, po przebyciu 2 trudnych przejść, weszliśmy w piękną okolicę, licznie zaludnioną nomadami, których czarne namioty stanowiły jakby kropki w rozpadlinach i na pochyłościach gór sąsiednich. Wieczorem rozbiliśmy namiot na brzegu strumienia, mając na południu góry, zawieszone nad północną stroną jeziora Tengri-Nor. Byliśmy oddaleni o 180 mil od głównego obozu. Gdy się zciemniało zupełnie, nagle zostaliśmy otoczeni przez gromadę Tybetańczyków, którzy oświadczyli, że jesteśmy ich więźniami i że jeden krok naprzód przypłacimy życiem. Mój lama był w panicznym strachu i sądził, że natychmiast zostanie zabity. Trzydziestu siedmiu strażników postawiono dokoła nas; w dali przez mgłę dojrzeliśmy płonące ogniska Tybetańcz ków, najliczniejsze na grodach, prowadzących do Lhassy. Zachowaliśmy się spokojnie, nie stawiając oporu. Nazajutrz ujrzeliśmy w pewnej odległości wyrastającą jak grzyby z ziemi, gromadę pięćdziesięciu kilku ludzi uzbrojonych w czarne rusznice, szable i lance. Jeźdźcy ci galopowali ku naszemu namiotowi, wpadli wprost na nas z dzikiemi okrzykami wojennemi, poczem rozdzieliwszy się na dwie części, przebiegli dalej i wreszcie utworzywszy półkole, zwrócili się znowu na nas jak huragan, potrząsając groźnie lancami. Po tym wstępie zsiedli z koni, rozbili namioty w pobliżu naszych i zaczęli strzelać. Wszystko to było robione, jak się zdaje, w celu w zbudzenia wnas respektu.

(Ciag dal. nast.).

HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

(Ciąg dalszy).

VI.

Sala balowa.

W hotelu Babilon wielki bal odbyć się miał tej nocy w sali balowej, pomieszczonej w obszernym, dotykającym do głównego korpusu budynku. Racksole, nie zajmując się urządzeniem przyjęcia, wiedział tylko, że bal wydawali dla swoich przyjaciół państwo Samson Levi. Kto byli państwo Levi — nikt nie wiedział i nikt nie mógł objaśnić milionera po za tem, że pan Levi bogaty bankier, a jego żona okazała z orlim nosem dama, posiadająca dużo brylantów, oboje małżonkowie zaś uważani za bogatych i gościnnych ludzi.

Teodor Racksole nie życzył sobie, iżby bal odbywał się w jego hotelu tej nocy, przed samym obiadem miał ochotę wydać rozkaz, aby salę balową zamknięto, bal odwołano, a państwo Levi oznaczyli cyfrę wynagrodzenia za uczyniony im zawód. Pobudek do takiego roztrojenia miał kilka:

najpierw czuł się rozstrojony po przebytych wrażeniach, powtóre nie podobało mu się nazwisko Samsona Levi, wreszcie chciał pokazać miejscowym plutokratom, że ich bogactwa w oczach jego nie miały znaczenia, że oni nie mogą narzucać mu woli swojej i że gdyby chciał, mógłby ich wszystkich zakasować, dyktując prawa na giełdzie. Instyktownie odgadywał jednak, że chociaż podobne zachowanie uszłoby w Ameryce, w kraju wolności i swobody, nie byłoby żadną miarą tolerowane w Anglii. Bal więc odbył się swoim porządkiem, a państwo Levi nie domyślali się nawet, jak przykra groziła im kompromitacja wobec tysiąca gości, zaproszonych na zabawę do sali hotelu Babilon.

Sala owa, umieszczona w oddzielnym, jak wyżej wspomniano budynku, miała dokoła galerję, wspartą na arkadach, zdobnych w złocenia i lapis-lazuli; stąd panny lub starsze damy, nie biorące udziału w tańcach, mogły przyglądać się zabawie. O tem każdy wiedział, publiczność jednak nieświadomą była, że w górze nad galeryą znajdowało się zakratowane okno, z którego zarząd hotelowy dozorować mógł tak tancerzy jak i widzów galerji.

Dla nieobeznanych z rzeczą ludzi dziwnem zdawać by się mogło, aby zapraszanych do tak wspaniałych apartamentów gości zarząd hotelu kontrolować potrzebował. Tak było jednak i wiele zagadkowych faktów, jak niemniej dużo poszukiwanych osobistości wykryto z tego okienka w górze, w którem detektywi różnych państw europejskich trzymali czujną straż.

O godzinie jedenastej Racksole dla rozerwania smutnych myśli stanął przy zakratowanem okienku, a córka zajęła obok niego miejsce. Oboje, krążąc po nieznanych sobie korytarzach, znaleźli wązkie schody i zaszli przypadkiem do małego pokoiku, skąd mogli przypatrywać się zabawie, wydanej przez państwa Samson Levi. Kryjówka oświecona była tylko światłem, padającem z sali balowej. Nella przyglądała się ciekawie tańczącym.

— Radabym wiedzieć, która z dam. jest pani Samson Levi — mówiła. — Czy powierzchność odpowiada jej nazwisku? Chciałbyś nazywać się tak, ojcze, Racksole bez żadnego doyatku?

Dochodziły do nich dźwięki muzyki i szmer zmieszanych głosów.

— Oh! — zawołał, nie zwracając uwagi na słowa córki — bodajby przepadły te wieczorne gazety!

— Ojcze jesteś dziś niemożliwym; co ci gazety zawiniły?

— Dowiedz się, m ja pani, że tworzą o nas obojgu najfałszywsze komentarze; dostarczyła do nich wątku śmierć młodego Dimmocka;

— Czyżbyś chciał ojcze, nie mieć nic wspólnego z prasą? Co do gazet, cieszyć się powinieneś raczej, że nie jesteśmy obecnie w New-Yorku. Łatwo można wyobrazić sobie, jakby „Herald“ obrabiał ową maleńką tranzakcyę, wczoraj przez ciebie przeprowadzoną.

— Prawda — przyznał Racksole — jutro jednak telegramy rozniosą o tem wiadomość po świecie. Najgorsza sprawa, że Babilon odjechał do Szwajcarji.

— Skądże tak nagła zmiana planów?

— Nie wiem. Zatęsknił prawdopodobnie do kraju.

— Alboż czynić ci to może różnicę jaką, ojcze?

— Żadnej, odczuwam tylko jakby przykrość osamotnienia. Brak mi kogoś, na kim mógłbym się wesprzeć, od kogo zasięgnąć rady przy zarządzie hotelem.

— Podobne usposobienie u ciebie, ojcze, dowodzi, że musisz być chory.

— Tak — westchnął — dzieje się ze mną coś niezwykłego. Nie zdajesz sobie sprawy, Nello, żeśmy popadli w ciężkie kłopoty.

— Z powodu biednego Dimmocka?

— Tak z jego przyczyny, jak i innych zagadkowych okoliczności. Najpierw tajemnicze zniknięcie panny Spencer, następnie ów kamień, rzucony przez okno do twojej sypialni; knowania nocne Juliana i Dimmocka; niespodziane przybycie tego księcia Ariberta bez świty, co, jak sądzę jest nieodpowiedniem dla człowieka, zajmującego tak wysokie stanowisko; w dodatku znajduję córkę moją w stosunku znajomości z owym księciem. Wreszcie Dimmock pozwala sobie nagle umierać, co pociąga za sobą śledztwo sądowe, a zawodzi nas książę Eugeniusz, który z orszakiem swoim przybyć miał tutaj na obiad.

— Książę Eugeniusz nie przyjechał?

— Stryj Aribert szuka go telegramami po całej Europie. Niema co mówić, ładnie składają się rzeczy!

— Przypuszczasz, papo, że istniało jakieś porozumieuie między Julianem a biednym Dimmockiem?

— Czy przypuszczam? Wiem na pewno. Wi działem, jak hultaj dawał Dimmockowi znaki wczoraj, podczas obiadu.

— Właśnie chciałam ci o tem wspomnieć, gdyż owe znaki nie uszły i mojej uwagi; ale patrz ojcze — szepnęła, wskazując na galeryę pod okienkiem. — Kto to być może?

Stał tam mężczyzna z małą łysiną w tyle głowy; wsparty o balustradę, przypatrywał się pilnie sali balowej.

— Czy nie Julian?

— Na brodę Proroka przysięgam, to on, we własnej osobie!

— Należy prawdopodobnie do zaproszonych gości pani Samson Levi.

— Gość, czy nie gość, wyjść musi natychmiast z mego hotelu, choćby mi przyszło samemu wyrzucić za kark, łotra.

Racksole oddalił się bezzwłocznie, a córka podążyła za ojcem; gdy jednak przyszli na galerję, nie było śladu Juliana ani tam, ani w sali balowej. Milioner na próżno szukał go wzrokiem; zniecierpliwiony, po chwili krętymi schodami powrócił na dawniej zajmowane miejsce, chcąc z góry

dalsze czynić obserwacje. W ciemnym pokoiku z niemałem zdziwieniem zastał jakiegoś mężczyznę, przyglądającego się z okienka sali balowej równie uważnie, jak on to sam czynił przed kwandransem. Na odgłos kroków intruz drgnął i odwrócił się. Racksole ujrzał Juliana. Obaj wymienili z sobą spojrzenia w półcieniu.

— Dobry wieczór, panie Racksole — odezwał się Julian z zupełnem spokojem. — Muszę przeprosić pana za moją tu obecność.

— Z nawyknienia zapewno przyszedłeś — odparł Racksole sucho.

— Odgadł pan trafnie.

— Zdaje się, żem ci zakazał odwiedzania mego hotelu.

— Sądziłem, że zakaz odnosi się tylko do mego charakteru zawodowego; dziś jestem tutaj jako gość państwa Samson Levi.

— W nowej roli kapitalisty zażywającego spoczynku, co?

— Nie inaczej.

— Ale ja kapitalistom zażywającym spoczynku nie pozwalam wchodzić tutaj, przyjacielu.

— Wszak już pana przepraszałem za moją obecność.

— Zatem po złożeniu przeproszenia powinieneś wynieść się stąd coprędzej; daję ci tę bezinteresowną radę.

— Dobranoc panu.

— Dodam jeszcze, panie Julianie, że na przyszłość, jeśli państwo Samsanowie Levi, lub inni jacy Hebrejczycy, czy też Chrześcijanie chcieliby cię zapraszać do mego hotelu, zechcesz zrobić mi tę przyjemność i odmówisz im zaproszenia. Będzie to z większem dla ciebie bezpieczeństwem.

— Dobranoc panu.

Racksole sprawdził bezzwłocznie, że lista zaproszonych przez państwa Levi gości, jakkolwiek długa, nie obejmowała nazwiska Juliana.

Milioner czuwał długo; mówiąc prawdę nie spał noc całą. Należał do zahartowanych ludzi, którzy mogą obywać się bez snu, gdy uznają tego potrzebę. Rozmyślając, chodził wielkimi krokami po swoim pokoju. O 6-tej rano obszedł dokoła hotel i pilnował w kuchni dostawy produktów, zwożonych z Covent Garden, Schmithfield, Billingsgate lub innych miejscowości. Znalazł tę manipulację bardzo zajmującą; czynił w myśli uwagi, co zmienić wypada, którym ludziom podnieść, a którym zredukować pensję należy.

O 7-ej Racksole stanął przy windzie bagaży i był świadkiem spuszczania wielkiej ilości kufrów, pak, tłomoków.

— Do kogo to wszystko należy? — pytał.

Dozorca tłómaczył, iż są to pakunki różnych gości, wysyłane do różnych miejscowości, że niemal codziennie o tej wczesnej godzinie podobna ilość bagażów bywa ekspedyowaną.

Milioner odszedł posilić się herbatą i kawałkiem chleba z masłem.

O dziesiątej zameldowano mu inspektora policji, który oświadczył, że przybył zabrać ciało Reginalda Dimmocka dla przewiezienia go do prosektoryum i że odpowiedni na ten cel wóz czeka przed bramą od tyłu, w podwórzu. Przy sekcji mieli być obecni: on, jako reprezentant władzy, książę von Rüdesheim, a na świadka wezwano komisjonera z rogu ulicy.

— Sądziłem, że zwłoki Dimmocka zabrane były wczoraj wieczorem — zauważył Racksole z niezadowoleniem.

— Nie, panie; wóz był wczoraj zajęty; inny nieboszczyk chciał w nim użyć przejażdżki...

Rad ze swego konceptu, inspektor uśmiechnął się, a Racksole, zrażony nietrafnym żartem, pożegnał go, prosząc o prędkie załatwienienie smutnego obowiązku.

W parę minut później inspektor przez posłańca wezwał Racksola na pierwsze piętro. W pokoju, w którym poprzednio leżał trup Dimmocka, zebrani byli: książę, inspektor i kilku policyantów. Do trumny, ustawionej na dwóch krzesłach, zbliżył się Racksole i zawołał ze zdumieniem:

— Jakto? pusta?

— Tak jest — odparł inspektor. — Ciało zmarłego zniknęło w sposób zagadkowy. Jego wysokość książę Aribert oświadczył, że lubo zajmował pokój naprzeciwko, z drugiej strony korytarza, nie może nam udzielić żadnego w tej sprawie wyjaśnienia.

— Nie mogę, rzeczywiście — oświadczył książę, a lubo mówił ze spokojem pełnym godności, łatwo było zauważyć, iż był ciężko strapiony i zaniepokojony.

— Jabym... — szepnął Racksole i urwał zaraz.

VII.

Nella i książę.

Teodor Racksole zauważył niepodobnem, aby taki przedmiot jak ciało nieboszczyka, mogło być niepostrzeżenie wyniesione z hotelu, nie pozostawiając poszlak, ułatwiających odnalezienia tajemnych złoczyńców. Gdy minęło pierwsze wrażenie przykrego zdumienia, milionera ogarnęło uczucie oburzenia i gniewu. Postanowił wydalić całą służbę hotelową. Badał osobiście nocnego stróża, pokojówki i wszystkich, którzy z przypadku lub z obowiązku powinni byli wiedzieć coś o tym wypadku; zabiegi jego okazały się bezskuteczne. Ciało Reginalda Dimmocka zniknęło, rozwiało się niby widmo mgliste. Policja wprawdzie mogła jeszcze coś wyśledzić, ale Racksole nie dowierzał sprawności urzędników policyjnych; zawiadamiał ich o wszystkiem, odpowiadał cierpliwie na zadawane pytania, nie spodziewał się jednak wyświecenia przez nich prawdy. Znosił się rónież razy kilka z księciem Aribertem von Rüdesheim, lecz jakkolwiek książę był niesłychanie uprzejmy i szczerze strapiony śmiercią swego towarzysza, zdawało się jednak Racksolowi, że jego wysokość oględny w mowie, nie chce powiedzieć wszystkiego, co wie o tej smutnej sprawie.

(C. d. n.)

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu". Druk W. Korneckiego w Krakowie.